



MOJE

SZCZĘŚLIWE

WYSPY

MAGDALENA

ZAWADZKA

MARGINESY



MOJE
SZCZĘŚLIWE
WYSPY
MAGDALENA
ZAWADZKA

MARGINESY

MOJEJ WNUCZCE

HELENCE

COPYRIGHT © BY Magdalena Zawadzka

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

A ty mnie na wyspy szczęśliwe zawieź,
wiatrem łagodnym włosy jak kwiaty rozwieję, zacałuj,
ty mnie ukołysz i uśpij, snem muzycznym zasyp, otumań,
we śnie na wyspach szczęśliwych nie przebudź ze snu.

Pokaż mi wody ogromne i wody ciche,
rozmowy gwiazd na gałęziach pozwól mi słyszeć zielonych,
dużo motyli mi pokaż, serca motyli przybliź i przytul,
myśli spokojne ponad wodami pochyl miłością.

Konstanty Ildefons Gałczyński, *Prośba o wyspy szczęśliwe*



Wyspy jak sen

Uwielbiam czystość i ład. Bałagan denerwuje mnie i rozprasza do tego stopnia, że nie pozwala mi spokojnie zasnąć. Zanim położę się spać, lubię mieć uporządkowane mieszkanie i własną głowę. Gdybym nie trzymała siebie w karbach dyscypliny, nie poradziłabym sobie ze zorganizowaniem codzienności. Porządek uspokaja mnie i pozwala skupić się na ważniejszych sprawach niż: gdzie leżą nożyczki, egzemplarz sztuki, której tekst muszę przejrzeć przed przedstawieniem, kluczyki do samochodu czy okulary.

Ale te wspomnienia zapragnęłam napisać wbrew sobie: bez chronologicznego czy tematycznego porządku. No bo jak posegregować myśli, które przychodzą do głowy nagle, bez ostrzeżenia? Wystarczy rzut oka na zdjęcie, przedmiot czy osobę i od razu otwierają się drzwi do świata wspomnień, które drzemią w zakamarkach pamięci, pozornie zapomniane. W dużej mierze wyczerpałam ich pulę, pisząc w ostatnich latach dwie książki *Gustaw i ja* i *Taka jestem i już!* To, o czym piszę teraz, to często tylko okruchy zdarzeń, spotkań, przemyśleń, wspomnień, wzruszeń, które towarzyszą mi w wędrówce przez życie. Są często nieupokładane, oderwane od siebie, niedbające o daty. To są wyspy wspomnień, tak samo odosobnione jak prawdziwe wyspy zagubione wśród mórz i oceanów.

Powrót do tego, co było, jest często ucieczką przed chwiejną teraźniejszością. Uciekam od niej w bezpieczną stabilność wspomnień zawsze wtedy, kiedy jest mi źle. Mimo że wrodzony optymizm powinien mnie bronić, przez jego delikatną osłonę przebijają się rozczarowania,



Na plażę można się ubrać wizytowo, szczególnie, gdy pada deszcz.

zwątpienia, świadomość przemijania, strach przed przyszłością, tęsknota za tym, co było i już nie wróci. A więc powrót na wyspy wspomnień jest zawsze powrotem do bezpiecznej przystani, z której potem wyruszę, żeby znowu zmierzyć się z przygodą, jaką jest życie.

Wyspy są samotne. To często odległe od stałego lądu skrawki ziemi, albo duże, ważne na mapie świata terytoria. Bez względu na ich wielkość, historię, bogactwo, stosunki gospodarczo-polityczne czy strategiczne położenie łączy je jedno: poczucie własnej tożsamości. Stali mieszkańcy na każdym kroku podkreślają swoją niezależność i wyjątkowość. Sycylijczyk nie czuje się Włochem, tylko Sycylijczykiem, a Korsykanin nie widzi powodu, by nazywano go Francuzem. Wiele wysp było kiedyś autonomicznymi, silnymi państwami. Świat się zmienił, a zakorzenione przed wiekami poczucie odrębności pozostało.

Kocham wyspy, bo są jak ludzie, każda na swój sposób ciekawa i zachwycająca. Najbardziej fascynują mnie te położone gdzieś hen daleko. Są osnute niedostępną dla mnie tajemnicą. Kilka lat temu pły-



wałam łodzią w towarzystwie syna i jego przyjaciół wokół małych wysp na Morzu Andamańskim. Gdy z łodzi patrzy się w głąb morza, widzi się pełen życia podwodny świat. Tuż pod powierzchnią tańczą tysiące małych, zdobnych w jaskrawo kolorowe paski rybek. Gdy zanurzałam się w tej ciepłej, miękkiej wodzie, rybki nie uciekały, tylko nadal śmigały wokół mnie. Odpoczynek na maleńkiej plaży jednej z wysepek, a potem obiad przygotowany na łodzi przez Taja były rozkoszą bogów. Tajskie jedzenie jest wyjątkowo pyszne, chyba najlepsze na świecie. Delikatne i wspaniale przyprawione, podawane w renomowanych restauracjach, jak i to kupione na ulicznych straganach. Jedno jest pewne: nie zaserwują mi szaszłyka z psa, kota czy szczura. Na szczęście nie mają takiej tradycji kulinarnej. Podstawą kuchni jest drób. Chociaż przegryzki z szarańczy są tak popularne jak u nas chipsy czy prażona kukurydza. Jednak nie odważyłam się spróbować tego przysmaku.

Te maleńkie wysepki, często bezludne, oczarowały mnie. Wiele z nich w 2004 roku zalało tsunami i przestały istnieć. Jednak po jakimś, wyznaczonym przez naturę czasie wyłoniły się z wód i odrodziły,

jeszcze piękniejsze i bogatsze w faunę i florę. Na wyspie Koh Jum, na której mieszkaliśmy, urzekły mnie ogromne piaszczyste plaże, białe i miękkie jak aksamit, a potem ciemne, zabrudzone, stargane przez fale odpływu. Podczas spaceru wzdłuż brzegu miałam szczęście spotkać buddyjskich mnichów w malowniczych, pomarańczowych szatach. Krótka rozmowa z tymi serdecznymi, przyjaźnie nastawionymi i otwartymi ludźmi uświadomiła mi, w jak duchowo innym świecie żyją. A który z tych światów jest właściwy? Nie wiem, czy ich czy mój. Wspominając ten spacer, mam przed oczami inne ciekawe obrazy. Leniwie cofające się podczas odpływu morze i wylaniające się z niego, pędzące w zarośla w poprzek plaży małe kraby. Idąc plażą, można zobaczyć śpiące albo zapatrzone w siną dal koty i psy. Nikogo nie atakują i nie boją się ludzi. Tajowie kochają bezdomne zwierzęta, dokarmiają je i dają schronienie w swoich obejściach. Nikt nie robi im krzywdy, dlatego są takie spokojne i ufne. Nieraz widziałam śpiącego na środku drogi psa. Dopiero na dźwięk klaksonu leniwie zwlekał się z drogi, ustępując miejsca pojazdowi, którego kierowca cierpliwie czekał. Państwo objęło bezpieczne zwierzęta szczególną opieką, łożąc na obowiązkowe szczepienia. Czują się kochane i są wolne.

Którejś bardzo ciepłej nocy obudził mnie podejrzany ruch w nogach łóżka. Złękłam się, bo okna bungalowu były otwarte i mógł wpełznąć wąż. Zapaliłam nocną lampkę i potwornie bojąc się najgorszego, odchyliłam prześcieradło. Okazało się, że przyszedł do mnie na nocleg mały, łaciaty kotek, który z brzaskiem dnia zniknął jak sen. A w ogóle te wyspy do dziś jawią mi się jak sen...

Mnisi, tak jak ja – na urlopie.





Podwórko

Nadeszła wiosna. Świeci słońce, powietrze pachnie świeżością. Kwitną forsycje, kasztany i migdałowce. Zieleni się młodziutka trawa, a ptaki ukryte w koronach drzew śpiewają jak oszalałe. Ten idylliczny obrazek widzę z okien mojego mieszkania. To duży wewnętrzny dziedziniec zwany od zawsze podwórkiem. Nasze podwórko jest naprawdę piękne, ale nie ma na nim życia. Jest puste, bo nie bawią się na nim dzieci, na ławce nie siedzą matki, nikt z dorosłych nie wybiega na balkon, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się coś złego. Nie słychać radosnego gwaru, śmiechu, płaczu i wzajemnych nawoływań. Nawet psy nie mają wstępu, bo brama jest zamknięta na klucz. Zniknął relikwiarz przeszłości – trzepak, bo nikt już nie trzepie dywanów tradycyjną trzepaczką. Robią to elektroluksy najnowszej generacji. Urwały się też sąsiedzkie kontakty, bo przy trzepaku można było sobie pogadać o wszystkim i ponarzekać. Stary śmietnik, z którego dachu dzieci skakały na stertę jesiennych liści, a który zawsze straszył widokiem niewywożonych regularnie śmieci, jest teraz zadbanym budyneczkiem z ukrytymi wewnątrz pojemnikami. Tylko nikt już z niego nie skacze. Jest czysto, elegancko i potwornie smutno. A pamiętam, że w czasach mojego i syna dzieciństwa zabawa na podwórku była najważniejszym i najmiłym punktem dnia.

Spędzało się na nim każdą wolną chwilę i tylko choroba usprawiedliwiała nieobecność. Po powrocie z przedszkola czy ze szkoły rzucało się torbę czy tornister w kąt i biegło co sił w nogach z pajdą chleba w rękę do dzieci. Na podwórku zawsze były jakieś dzieci, chociażby



jedno, które radośnie witało potencjalnego towarzysza zabawy. Oboje z Gustawem uważaliśmy, że bez podwórkowych doświadczeń życie dziecka jest uboższe. Włączenie się w tę miniaturową społeczność, która rządzi się własnymi prawami, ułatwia w przyszłości międzyludzkie kontakty. Tu się można zetknąć z hierarchią ważności spraw i osób. Tu są silni i słabi, wesołowcy i smutasy, przebojowi i nieśmiali, brutalni i delikatni, wodzowie i poddani. Tu szuka się pierwszych w życiu autorytetów i przyjaźni, wyrabia się własne sądy i walczy o siebie. Stąd kłótnie, bójkę, płacze i skargi. Nie można się w to zbyt wtrącać, bo nawet małe dziecko powinno samo dokonywać wyborów. Na podwórku jest jak na poligonie przygotowującym do życia wśród ludzi. Dlatego nasz syn Jasiak został już w wieku trzech lat włączony w wir podwórkowego życia, a pożegnał się z nim jako późny nastolatek i to tylko dlatego, że nie pozwalały mu na to szkolne i pozaszkolne zajęcia.

Dla mojego synka Jasia najważniejsza w życiu była zabawa.



Zabawy i ruch na świeżym powietrzu wyzwalały inwencję i przysparzały fizycznej tężyzny. Te pomysły nie były może zbyt odkrywcze, bo ja w dzieciństwie bawiłam się podobnie. Ale stare, mądre przysłowie mówi, że lepsze jest wrogiem dobrego, więc tego się trzymajmy. Na porządku dziennym była zabawa w chowanego i w berka. Godzinami ganiało się po łączących się ze sobą podwórkach i nigdy nie było nudno. Załomki murów, drzewa, śmietniki, piwnice idealnie nadawały się do schowania. Gra w piłkę nożną, ręczną, badmintona, nawet w tenisa (bo mama jednego z kolegów Jasia zrobiła szydełkiem siatkę), jazda na rowerze powodowały niebywałe, ale zdrowe zmęczenie, szczególnie że spełniliśmy wielkie marzenie Jasia, zdobywając, dzięki znajomościom, wyjątkowo atrakcyjny rower – BMX. Jego szczęście nie miało granic. Grzeczne dziewczynki grały w klasy, skakały przez skakankę i bawiły się w mamę i tatę, wożąc w wózeczkach lalki i opiekując się nimi, jak prawdziwe mamusie. Jasiak należał do grupy podwórkowych szaleńców, więc wracał do domu potwornie brudny, ledwie żywy, ale szczęśliwy. Nie usiadł ani chwili na miejscu, wiosenny i letni deszcz witany był ze szczególną radością, bo był okazją do taplania się w błocie, łażenia po kałużach i skakania w nich wśród kropelek rozpryskującej się wody. Zimowe szaleństwa na śniegu to bitwa na śnieżki, lepienie bałwana, budowa igloo, jazda na sankach i łyżwach. Niestety jazda na łyżwach nie była mocną stroną ani moją, ani Jaśka. Mój tata, przedwojenny mistrz Polski w klasie juniorów i dwukrotny mistrz Warszawy w jeździe figurowej, nie przekazał nam tej umiejętności. Jakoś zabrakło na to czasu. Śnieżne harce kończyły się z wcześniej zapadającym zmrokiem. Popołudnia i wieczory spędzał Jasiak w domu. Często zapraszaliśmy dzieci do nas, żeby mogły się razem pobawić. Najatrakcyjniejsze były zabawy w teatr, przebieranki, budowanie z klocków, gry planszowe i puzzle, które wciągały do zabawy całą rodzinę. Pamiętam, że gdy układaliśmy Panoramę Raławicką, duży pokój w mieszkaniu był wyłączony z życia, bo stół, podłoga i komoda pokryte były drobnymi elementami układanki, a podłoga – częściowo złożonym już olbrzymim obrazkiem. Właściwe ułożenie modnej wtedy kostki Rubika doprowadzało naszą rodzinę do szału

i spędzało sen z powiek. Pojawiły się też nowe zabawki elektroniczne, które dostawał od nas z okazji imienin czy urodzin. Ale i tak najukochańszy był pluszowy piesek Ciapek, z którym nie rozstawał się przez wiele lat. Ciapek wyszarżał, wyliniał, ale żyje do dziś w jakimś zamkniętym szafku.

Jednak nie samą zabawą żyje mały człowiek. Jasiowi doszły pozaszkolne zajęcia: tenis, basen, nauka języka angielskiego, lekcje religii w kościele, a przede wszystkim te najważniejsze: odrabianie zadań domowych i czytanie lektur. Z tego obowiązku wymigiwał się, jak mógł, ale nie odpuszczaliśmy. Jak nie chciał sam, czytało mu się na głos, odtwarzało płyty ze słuchowiskami. Pilnowaliśmy, aby nie oglądał zbyt długo i często telewizji, bo była i jest potwornym zjadaczem czasu.

W czasach mojego dzieciństwa nie było jeszcze telewizji, więc dorośli i dzieci słuchali radia. Z utęsknieniem czekaliśmy na nasze ulubione audycje, bo organizm mojego domu odrzucał nachalną propagandę jak przeszczep. Liczba nadawanych słuchowisk, czytanek, koncertów, audycji rozrywkowych i słowno-muzycznych była imponująca. Gdy chodziłam do trzeciej klasy podstawówki, moja wychowawczyni zarekomendowała mnie do radiowego teatrzyku dla dzieci. Zaśpiewałam w nim piosenkę o zajączku, zaczynając się od słów: „Hej, zajączek ci ja, zajączek z dąbrowy, mam na zimę butki i kubraczek nowy”. Był to mój debiut na falach eteru i wiekopomne wydarzenie dla szkoły, rodziny i dla mnie. Piosenki o wydźwięku typowo socjalistycznym jak *Na prawo most, na lewo most* czy *Budujemy nowy dom*, pamiętam do dziś, bo leciały w radiu na okrągło. Teraz inaczej się ich słucha. Nabrały historycznego i zabawnego wydźwięku i są nawet wzruszające. Na szczęście, nie tylko takimi szczyliło się Polskie Radio. Wybitni kompozytorzy i autorzy tekstów pisali naprawdę wartościowe piosenki, które przetrwały do dziś i nadal zachwycają. Radio towarzyszyło mi i wciąż towarzyszy. Gdy w 2012 roku zostałam uhonorowana prestiżową nagrodą Teatru Polskiego Radia – Wielki Splendor, dziękując za nią, mówiłam o mojej miłości i szacunku do radia. Zabawne, że wszystko zaczęło się od piosenki o zajączku.



Zabawek miałam niewiele, więc dbałam o nie, chcąc zapewnić im długi żywot. Te najukochańsze to pluszowy, lekko zezowaty misiek, lalka z masy – Wojtek, i szmaciana Rachel. Marzyłam o lalce z długimi włosami, poruszającej oczami i mówiącej: mama. Nigdy jej nie dostałam, bo rodziców nie było na nią stać. Domowy budżet był wyliczony co do grosza, a długów bali się jak diabeł święconej wody. Trudno, rozumiałam to, nie napraszałam się i rekompensowałam sobie ten brak czytaniem pięknie ilustrowanych książek. Na nie zawsze znajdowały się pieniądze. Mogłam też bez końca wpatrywać się w magiczny świat kalejdoskopu i poruszając nim, tworzyć coraz to inne kolorowe kompozycje.

Najważniejsze zabawy odbywały się pod stołem, nawet wtedy, gdy bawiłam się sama, bez towarzystwa dzieci. Tam było najprzytulniej. Otulałam szczerze brzegi stołu obrusem, zapalałam w środku nocną lampkę i był gotowy domek dla lalek, misia i ludzików ulepionych



z plasteliny. Mebelki budowałam z drewnianych klocków. Rodzice kupowali mi w sklepie papierniczym bloki rysunkowe, farby, kredki i kolorowy, błyszczący papier, do robienia wycinanek. Rysowałam, malowałam, wycinałam z wielką pasją, mimo że nie miałam do tego cienia talentu. Gdy byłam mała, wiele zabawek robiło się samemu, ot, chociażby ludziki z kasztanów i żołądzi, samochodziki z pudełek od zapalek, papierowe ptaszki, samolociki i łódeczki. Malowało się laurki z okazji imienin i urodzin, rysowało obrazki przy wpisach do pamiętników. Osobnym rozdziałem w twórczości były ozdoby na choinkę – łańcuchy, gwiazdki, aniołki. To była cudowna zabawa, w której brała udział cała rodzina. Pamiętam, że przed Bożym Narodzeniem stół w kuchni usłany był arkuszami kolorowego papieru i krepiny. Także domowym sumptem przygotowywało się stroje na bale kostiumowe w przedszkolu i w szkole. Gdy hasłem balu byli tytułowi bohaterowie książek, ja poszłam na bal jako „nasza szkapa” z noweli Marii Konopnickiej, a ponieważ utwory tej pisarki były obowiązkową lekturą szkolną, dzieci zorientowały się, co to za przebranie. Uczesana w koński ogon, czarne klapki przy oczach, gwiazdka na czole – symbolicznie i tanio. Z grami planszowymi też było skromnie, ale chińczyk i warcaby wystarczały za wszystko.

Tak było w domu, a na podwórku, ulicy i w ogródkach ganiało się z kolorowymi wiatraczkami na drucianym uchwycie i uprawiało te same co Jasek podwórkowe szaleństwa. Zabawy wymyślaliśmy sami. Ja też dostałam od rodziców rower, więc jeździłam na nim godzinami, przeganiając w ten sposób siebie i mojego ukochanego psa – Szatana. Ewolucje wykonywane na trzepaku również zajmowały sporo czasu, ale skłoniły mnie do zapisania się na zajęcia do akrobatycznego i baletowego kółka. Czas nie istniał. Nie wiem, kiedy odrabiałam lekcje, bo zabawa była najważniejszym i najmiłym zajęciem. Ze szkoły wracało się dłużej, niż się do niej szło, bo zaliczało się po drodze wizyty w ogródkach koleżanek. Nie odwoziło się ani nie odprowadzało dzieci do szkoły, bo było bezpiecznie. Ostoją tego bezpieczeństwa była międzyludzka solidarność. Ludzie interesowali się sobą, utrzymywali ze sobą kontakty i w miarę możliwości pomagali sobie. Najważniejsza



była pomoc sąsiedzka. Leciało się do sąsiadki, żeby pożyczyć pieniądze albo coś, czego akurat zabrakło w domu – soli, mąki. Prosiło się o przypilnowanie dziecka, podlanie kwiatków, wyprowadzenie psa. W razie choroby sąsiedzi wzywali lekarza, szli do apteki po lekarstwa, robili zakupy, częstowali obiadem. I nie było w tym nic nadzwyczajnego. To były normalne, ludzkie odruchy.

Kiedyś ludzie mieli więcej czasu. Pamiętam panie siedzące na ławkach przed domem i gadające ze sobą o wszystkim, ściślej mówiąc: o chorobach i problemach rodzinnych. Ale najbardziej podniecające były plotki: kto, z kim, gdzie, dlaczego. Ale kto nie lubi wiedzieć? Plotki są uzdrawiające, bo odsuwają na bok własne problemy i rozbudzają marzenia i tęsknoty za czymś, co nie jest naszym udziałem. W tej sytuacji kozetka u psychologa była zbędnym sprzętem. Rozmowy na ławce z kumami pomagały rozwiązać każdy życiowy problem. Pamiętam też panie godzinami wyglądające przez okno i obserwujące wszystko, co się działo wokół domu. Żeby nie nabawić się odcisków na łokciach,

opierały się o leżące na parapecie poduszki. Były lepsze niż najczujniejsza ochrona, bo znały koligacje rodzinne, towarzyskie i zwyczaje sąsiadów. Nic nie mogło umknąć ich bystremu oku. Teraz starsi ludzie są dużo młodszy od rówieśników sprzed lat i bardziej zajęci. Pracują, są samodzielni, mają swoje życie i nie mają czasu. Nawet dużo młodziej wyglądają.

Bardzo ważne też było istnienie wielopokoleniowych rodzin, mieszkających pod jednym dachem. Więzy rodzinne trwały od pokoleń. Dzieci wzrastały w domach w otoczeniu najbliższych, wszyscy wzajemnie się sobą opiekowali. Starsi: babcie, ciocie, dziadkowie czuli się potrzebni i nabierali życiowego rozpędu, dzieci uczyły się od nich mądrości, szacunku dla późnego wieku, który czeka każdego z nas.

Dzieciństwo Jasia było pod wieloma względami podobne do mojego, ale jednak inne. Cała nasza rodzina mieszkała w Warszawie, więc pomagała nam w opiece nad dzieckiem. Jednak życie bardzo przyspieszyło i czuło się to na każdym kroku. Nadal było bezpiecznie i dzieci korzystały z wolności samodzielnego poruszania się po mieście, zabawy na podwórkach i placach zabaw. Mimo to dorośli wciąż poczuli się do obowiązku pilnowania dzieci: swoich i nieswoich. Balkony i okna były kapitańskimi mostkami, z których obserwowało się podwórkowy świat, rozstrzygało spory, wołało na posiłki i patrzyło, czy ktoś podejrzany nie kręci się po podwórku. Tupot małych stópek po schodach zwiastował poważniejsze problemy, w których rozwiązaniu musieli pomóc dorośli. Jednak częściej była to prośba o możliwość skorzystania z toalety czy o coś do picia. Komunikacja była prosta, bo nie było domofonów. Wszystkie dzieci były nasze i pomagaliśmy sobie w opiece nad nimi. Tak było i minęło. Wielogodzinne zajęcia, setki programów telewizyjnych, komputery, internety i elektroniczne atrakcje, centra handlowe jako współczesne świetlice, zagrożenie bezpieczeństwa, a więc alarmy, kamery, zamknięte domy i osiedla odcięły dzieci od swobodnego spędzania czasu na powietrzu i zamknęły je w pomieszczeniach. Jaśka i moje podwórko jest już tylko pięknym wspomnieniem.



Nasze pierwsze lata w Szczecinie. Mama zawsze elegancka.

Długo oczekiwana nowa książka Magdaleny Zawadzkiej.

Powiedzenie „podróże kształcą” ma swój głęboki sens i tego się trzymam – mówi autorka i zabiera nas na wyprawę. Ciekawie, wnikliwie, z dystansem, a przede wszystkim z wrodzonym poczuciem humoru opowiada o tym, co drogie jej sercu. Ale też o tym, co tylko pozornie jest zwyczajne.

Tytułowe szczęśliwe wyspy to nie tylko zakątki na całej kuli ziemskiej, odwiedzane przez pełną pasji podróżniczkę. To także spokojne przystanie, do których wracamy we wspomnieniach: ludzie, chwile, przedmioty i miejsca – kotwice łączące nas mocno z przeszłością, z najmilszym światem.

To opowieści o przybłokowym podwórku i dziecięcych zabawach, wspomnienia codziennego życia, dawnego smaku chleba, truskawek i wody z saturatora, anegdoty związane z ludźmi i sprawami, do których po latach, tak jak autorka, lubimy powracać – jak do bezpiecznej przystani.

www.marginesy.com.pl



9 788365 586551

cena 44,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



w sprzedaży także

